



KHALED HOSSEINI

CHŁOPIEC Z LATAWCEM

1

Grudzień 2001

Stałem się tym, kim jestem dzisiaj, gdy miałem dwanaście lat, pewnego lodowatego, pochmurnego dnia zimą 1975 roku. Pamiętam tamtą chwilę: przycupnąłem pod rozpadającym się glinianym murem i zerkąłem zza niego w zaułek opodal zamrożonego strumienia. To było dawno temu, ale przekonałem się, że twierdzenie, iż przeszłość można pogrzebać, jest błędne. Bo przeszłość usiłuje wygrzebać się na powierzchnię. Patrząc wstecz, uprzytamniam sobie, że zerkam w ten opustoszały zaułek od dwudziestu sześciu lat.

Któregoś dnia latem zeszłego roku zadzwonił do mnie z Pakistanu mój przyjaciel Rahim Chan. Poprosił, żebym do niego przyjechał. Stojąc w kuchni ze słuchawką przy uchu, wiedziałem, że na linii jest nie tylko Rahim Chan. Odezwały się moje nieodpokutowane grzechy z przeszłości. Po zakończeniu rozmowy poszedłem na spacer nad jezioro Spreckels na północnej krawędzi parku Golden Gate. Wczesnym popołudniem słońce migotało na powierzchni wody, po której pływały dziesiątki miniaturowych łódek popychanych rześkim wiatrem. Gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem dwa latawce, czerwone z długimi niebieskimi ogonami. Szybowały po niebie, kołysząc się wysoko nad

drzewami w zachodniej części parku i nad wiatrakami. Pływały obok siebie jak dwoje oczu spoglądających na San Francisco, miasto, które teraz uważam za swój dom. I nagle w mojej głowie rozległ się szept Hasana: „Dla ciebie tysiąc razy”. Hasana z zajęczą wargą, który gonił latawce.

Usiadłem na ławce przy wierzbie. Zastanawiałem się nad tym, co powiedział Rahim, tuż zanim się rozłączył. Jakby po namyśle dorzucił: „Można być znowu dobrym”. Patrzyłem na te bliźniacze latawce. Myślałem o Hasanie. Myślałem o ojcu. O Alim. O Kabulu. Myślałem o swoim życiu do tamtej zimy 1975 roku, kiedy to zmieniło się wszystko. I stałem się tym, kim jestem dzisiaj.

2

Gdy Hasan i ja byliśmy dziećmi, wchodziliśmy na topole stojące wzdłuż podjazdu przy domu mojego ojca i kawałkiem lusterka puszczailiśmy zajaczki w okna poirytowanych sąsiadów. Siedzieliśmy wysoko na gałęziach po dwóch stronach pnia i machaliśmy bosymi nogami, mając kieszenie spodni wypchane suszonymi owocami morwy i orzechami włoskimi. Bawiliśmy się lusterkiem na zmianę, pojadając morwę, rzucając owocami jeden w drugiego, zaśmiewając się do rozpuku. Wciąż widzę siedzącego na drzewie Hasana, przebłyskujące wśród liści słońce pada na jego niemal idealnie okrągłą twarz jak u chińskiej lalki wyrzeźbionej w twardym drewnie: z płaskim, szerokim nosem i wąskimi, skośnymi oczami w kształcie liścia bambusa, oczami, które zależnie od światła miały złoty, zielony, a nawet szafirowy kolor. Wciąż widzę jego małe, nisko osadzone uszy i spiczastą brodę, mięsisty wyrostek jakby dodany po namyśle. I rozszczepioną wargę, odrobinę na lewo od środka – może w tym miejscu omsknęło się dłuto chińskiemu rzemieślnikowi albo po prostu był już tak zmęczony, że pracował niedbale.

Tam wysoko w koronie drzewa często namawiałem Hasana, żeby strzelał z procy orzechami w jednookiego

owczarka niemieckiego sąsiadów. Nie chciał tego robić, ale gdy go poprosiłem, bardzo poprosiłem, nigdy nie odmówił. Hasan nie odmawiał mi niczego. I zabójczo strzelał z procy. Zdarzało się, że jego ojciec, Ali, przyłapywał nas i wpadał w złość, o ile człowiek tak łagodny jak Ali może wpadać w złość. Groził palcem i machał ręką, każąc nam zejść na dół. Zabierał lusterko i mówił to, co kiedyś mówiła mu jego matka: że diabeł również bawi się lusterkami, żeby rozproszyć uwagę muzułmanów podczas modlitwy.

– I śmieje się przy tym – zawsze dodawał Ali, patrząc na syna z zachmurzoną miną.

– Tak, ojciec – mamrotał Hasan, wbijając wzrok w ziemię. Ale nigdy na mnie nie naskarżył. Nigdy nie powiedział, że to ja rzuciłem pomysł, żeby puszczać zajączki i strzelać orzechami w psa sąsiadów.

Topole rosły wzdłuż podjazdu wyłożonego czerwoną cegłą i biegnącego do dwuskrzydłowej bramy z kutego żelaza. Ta zaś otwierała się na dalszą część podjazdu, który ciągnął się przez posiadłość mego ojca. Dom stał na lewo od ceglanej drogi, na końcu znajdował się ogród.

Wszyscy zgadzali się co do tego, że mój ojciec, mój *baba*, postawił najpiękniejszy dom w całej Wazir Akbar Chan, nowej, zamożnej dzielnicy w północnej części Kabulu. Niektórzy byli zdania, że to najładniejszy dom w mieście. Szeroka alejka z krzakami róż po obu stronach prowadziła do rozległego budynku z marmurowymi podłogami i szerokimi oknami. Ceramiczne płytki, które *baba* wybrał własnoręcznie w Isfahanie, tworzyły misterne wzory na posadzkach w czterech łazienkach. Na ścianach wisały przetykane złotą nicią tkaniny, które ojciec przywiózł z Kalkuty; ze sklepionego sufitu zwisał kryształowy żyrandol.

Na piętrze znajdowały się moja sypialnia, pokój ojca i

jego gabinet nazywany również palarnią, gdzie stale pachniało tytoniem i cynamonem. Po kolacji podanej przez Alego *baba* wraz z przyjaciółmi rozsiadali się w czarnych skórzanych fotelach. Nabijali fajki – *baba* zawsze nazywał to „tuczeniem fajki” – i prowadzili rozmowy na trzy ulubione tematy: o polityce, o interesach i o piłę nożnej. Czasami pytałem tatę, czy mogę z nimi posiedzieć, ale on stawał w drzwiach, mówiąc: „Zmykaj. Teraz dorośli mają czas dla siebie. Poczytaj jakąś książkę”. Zamykał drzwi, a ja zastanawiałem się, jak to jest, że u niego dorośli nieustannie mają czas dla siebie. Siadałem pod drzwiami, przyciągając kolana do piersi. Zdarzało się, że siedziałem tak godzinę, niekiedy dwie, i słuchałem ich głosów przerywanych wybuchami śmiechu.

W salonie na dole jedna ściana była zaokrąglona i stały przy niej przeszkłone szafki zrobione na zamówienie. Na półkach znajdowały się zdjęcia rodzinne w ramkach: stara, ziarnista fotografia przedstawiająca mojego dziadka z królem Naderem Szahem, zrobiona w roku 1931, na dwa lata przed zabójstwem króla; stoją nad martwym jeleniem, mają buty z cholewkami do kolan i strzelby zawieszane na ramionach. Było tam również zdjęcie z wesela rodziców, elegancki tato w czarnym garniturze i uśmiechnięta mama niczym młodzianka księżniczka w bieli. Dalej *baba* ze swoim najlepszym przyjacielem i współnikiem w interesach, Rahimem Chanem, stoją przed domem, żaden się nie uśmiecha – na tym zdjęciu widać też mnie, jeszcze niemowlę, na rękach u taty, który wygląda na zmęczonego i przygnębionego. Tato trzyma mnie na rękach, ale ja zaciskam piąstkę wokół małego palca Rahima Chana.

Na końcu zaokrąglonej ściany było wejście do jadalni, gdzie na środku stał mahoniowy stół, przy którym z łatwością zasiadało trzydzieści osób – prawie każdego

tygodnia, co rozumiałe, zważywszy na upodobania ojca do wystawnych przyjęć. Po przeciwnej stronie znajdował się wysoki marmurowy kominek, zimową porą zawsze rozświetlony pomarańczowym ogniem.

Duże rozsuwane drzwi ze szkła prowadziły na półokrągły taras, z którego rozciągał się widok na dwuakrowy ogród i rzędy drzewek wiśniowych. Pod murem od strony wschodniej *baba* i Ali założyli nieduży warzywnik z pomidorami, miętą, papryką i grządką kukurydzy, która nie przyjęła się jak należy. Hasan i ja nazywaliśmy go Murem Słabowitej Kukurydzy.

Na południowym krańcu ogrodu, w cieniu rozłożystej nieszpulki stał domek dla służby, skromna chatka z gliny, gdzie mieszkał Hasan z Alim.

To tam, w tej chałupinie, urodził się Hasan zimą 1964 roku, dokładnie rok po tym, jak umarła moja mama, wydając mnie na świat.

Przez osiemnaście lat, które przemieszkałem w posiadłości ojca, zaledwie parę razy przekroczyłem próg tej chałupy. Gdy słońce schowało się za wzgórzami i skończyły się Hasana i moje całodzienne zabawy, nasze drogi się rozchodziły. Ja udawałem się różaną alejką do rezydencji, Hasan szedł do glinianej chaty, w której się urodził i mieszkał przez całe życie. Pamiętam, że była skromnie umeblowana, czysta, słabo oświetlona dwiema lampami naftowymi. Znajdowały się tam dwa materace pod przeciwległymi ścianami izby, między nimi wytarty i postrzępiony na brzegach dywanik z Heratu, stółek na trzech nogach i w rogu drewniany stół, przy którym rysował Hasan. Ściany były puste, tylko w jednym miejscu wisiał kilim z naszytymi koralikami układającymi się w słowa: *Allahu Akbar**. *Baba* kupił go Alemu w Maszadzie, dokąd często jeździł.

W tej małej chałupie matka Hasana, Sanaubar, wydała go na świat pewnego mroźnego dnia zimą 1964 roku. Moja matka wykrwawiła się na śmierć podczas porodu, natomiast Hasan stracił swoją niecały tydzień po urodzeniu. I to w sposób, który dla większości Afgańczyków jest znacznie gorszy od śmierci: uciekła z trupą wędrownych śpiewaków i tancerzy.

Hasan nigdy nie mówił o swojej matce, tak jakby w ogóle nie istniała. Ciągle zastanawiałem się, czy śni o niej, o tym, jak wygląda i gdzie przebywa. Czy chce ją spotkać? Czy tęskni za nią, tak jak ja tęsknię za matką, której nie znałem? Pewnego dnia szliśmy z posiadłości ojca do kina Zajnab, żeby zobaczyć nowy irański film. Wybraliśmy drogę na skróty przez koszary wojskowe opodal szkoły średniej Esteghlal – *baba* zabronił nam chodzić tamtędy, ale wówczas przebywał razem z Rahimem Chanem w Pakistanie. Przesadziliśmy ogrodzenie wokół koszar, przeskoczyliśmy mały potok i wypadliśmy na otwarty teren, gdzie kurzyły się stare, nieprzydatne czołgi. W cieniu czołgu przykucnęła grupka żołnierzy, palili papierosy i grali w karty. Jeden z nich zauważył nas, szturchnął sąsiada łokciem i zawołał do Hasana:

– Hej, ty! Znam cię.

Nigdy przedtem go nie widzieliśmy. Był przysadzisty, miał ogoloną głowę i kilkuniedniowy czarny zarost. Przestraszyłem się, widząc jego wyszczerzone zęby i pożądlivy uśmiech.

– Nie zatrzymuj się – mruknąłem do Hasana.

– Ty tam! Hazaro! Patrz na mnie, jak do ciebie mówię! – warknął żołnierz. Dał kumpłowi do potrzymania papierosa, po czym złączył czubkami kciuk i palec wskazujący, robiąc kółko. Środkowy palec drugiej ręki

Słowniczek wyrazów dari, niewyjaśnionych w tekście, znajduje się na końcu książki.

włożył w kółko. Wysunął go i wsunął. Wysunął i wsunął.
– Wiesz, że znałem twoją matkę? Znałem naprawdę dobrze.
Wziąłem ją od tyłu tam nad potokiem.

Żołnierze parsknęli śmiechem. Któryś zapiszczał.
Powiedziałem Hasanowi, żeby nie przystawał, tylko szedł dalej.

– Miała taką ciasną, słodką cipkę! – mówił z szyderczym uśmiechem żołnierz, ściskając ręce pozostałym.

Później, gdy zgasty światła w sali kinowej i rozpoczął się film, usłyszałem chrapliwy oddech siedzącego obok mnie Hasana. Łzy spływały mu po policzkach. Objąłem go i przyciągnąłem do siebie. Oparł głowę na moim ramieniu.

– On się pomylił – szepnąłem. – Wziął cię za kogoś innego.

Podobno nikt nie był szczególnie zdziwiony na wiadomość o ucieczce Sanaubar. Tak naprawdę ludzie unosili brwi, słysząc, że Ali, mężczyzna, który znał na pamięć cały Koran, ożenił się z tą kobietą, młodszą od niego o dziewiętnaście lat i piękną, lecz znaną z braku skrupułów, co potwierdzał jej sposób życia. Tak jak Ali wyznawała szyizm i wywodziła się z Hazarów. Była również jego kuzynką i z tego powodu naturalną kandydatką na małżonkę. Prócz tych związków łączyło ich niewiele więcej, a już na pewno nie byli do siebie podobni z wyglądu. Krążyły pogłoski, że jej błyszczące zielone oczy i figlarna buzia nakłoniły do grzechu niezliczonych mężczyzn. Ali zaś urodził się z paraliżem dolnych mięśni twarzy, przez co nie mógł się uśmiechać i zawsze sprawiał wrażenie zasepionego. Zadowolony czy zasmucony, Ali o kamiennej twarzy wyglądał dziwnie, ponieważ tylko w skośnych brązowych oczach rozbłyskiwała radość lub wzbierało przynębenie. Mówi się, że oczy są oknami duszy. Ali był

tego najlepszym potwierdzeniem, ponieważ jego uczucia uzewnętrzniały się tylko w oczach.

Słyszałem, że pod wpływem wymownego chodu Sanaubar i kołysania biodrami mężczyźni pogrążali się w rozwiązłych myślach. Po przebytej chorobie Heinego-Medina pozostała Alemu krzywa, zwyrodniała prawa noga, właściwie sama kość i skóra ziemistego koloru z cienką jak papier warstewką mięśni. Pamiętam, jak pewnego dnia – miałem wtedy osiem lat – Ali wybierał się na bazar po chleb *nan* i zabrał mnie z sobą. Szedłem za nim, nucąc coś pod nosem i naśladowując jego sposób chodzenia. Przyglądałem się, jak zatacza łuk chudą nogą i stawiając ją na ziemi, cały przechyla się w prawo tak bardzo, że ledwie utrzymuje równowagę. Gdy spróbowałem zrobić to samo, niemal wpadłem do rynsztoka. Zacząłem chichotać, a wtedy Ali odwrócił się i zobaczył, że go małpuję. Nic nie powiedział. Ani wtedy, ani nigdy potem. Po prostu poszedł dalej.

Wygląd i chód Alego napawały strachem maluchów z sąsiedztwa. Prawdziwy kłopot sprawiały jednak starsze dzieciaki. Biegły za kuśtykającym Alim po ulicy i się nabijały. Niektóre wołały na niego *babalu*, czyli zły duch: „Hej, *babalu*, kogo dzisiaj pożarłeś? – wykrzykiwały, wzbudzając chóralny śmiech. – Kogo pożarłeś, płaskonosy *babalu*?”.

Nazywały go płaskonosym, bo Ali i Hasan mieli mongoloidalne rysy charakterystyczne dla Hazarów. Przez lata moja wiedza o Hazarach sprowadzała się do tego, że są potomkami Mongołów i trochę przypominają Chińczyków. W podręcznikach szkolnych znajdowały się o nich nieliczne wzmianki – mimochodem napomykano o ich pochodzeniu. Pewnego dnia, gdy byłem w gabinecie ojca, grzebiąc w jego rzeczach, znalazłem starą książkę o

historii kraju, jedną z wielu należących do mojej mamy. Książkę napisał Irańczyk o nazwisku Chorami. Zdmuchnąłem z niej kurz i ukradkiem wziąłem ją do łóżka, idąc wieczorem spać. Ku swemu zdziwieniu znalazłem cały rozdział opisujący dzieje Hazarów. Kto by to pomyślał – cały rozdział poświęcony ludowi, z którego wywodził się Hasan! Wyczytałem, że mój naród, Pasztunowie, prześladował i gnębił Hazarów, a potem, w dziewiętnastym wieku, Hazarowie podnieśli bunt przeciwko Pasztunom, ale „zostali pobici z nieopisaną brutalnością”. Autor pisał, że moi ziomkowie zabili wielu Hazarów, wypędzili z ich ziem, spalili im domy i sprzedali ich kobiety. Wyjaśniał, że Pasztunowie prześladowali Hazarów między innymi dlatego, iż sami byli sunnitami, a tamci szyitami. Książka mówiła rzeczy, o których nie miałem pojęcia – nauczyciele tego nie uczyli. *Baba* też ani razu o tym nie wspomniał. Mówiła również rzeczy mi znane, na przykład określała ten lud mianem „płaskonosych”, „jucznych osłów” lub „zjadających myszy”. Słyszałem, jak takimi wyzwiskami obrzucają Hasana chłopaki z sąsiedztwa.

Następnego tygodnia, po lekcjach, pokazałem książkę, a w niej rozdział o Hazarach, swojemu nauczycielowi. Przerzucił parę kartek, parsknął śmiechem i zwrócił mi ją.

– Szyici w jednym są świetni – powiedział, zabierając swoje papiery. – Z powodzeniem robią z siebie męczenników. – Gdy wymawiał słowo „szyici”, zmarszczył nos, jakby oznaczało jakąś chorobę.

Mimo wspólnego pochodzenia etnicznego i łączących ich więzów krwi Sanaubar wyśmiewała Alego tak samo jak okoliczne chłopaki. Podobno z nieskrywaną pogardą wypowiadała się o jego wyglądzie. „To ma być mąż? – szydziła. – Widziałam stare osły lepiej nadające się na

mężów”.

Koniec końców ludzie zaczęli podejrzewać, że to małżeństwo było wynikiem jakiejś umowy między Alim a jego wujem, ojcem Sanaubar. Mówili, że przez ożenek ze swoją kuzynką Ali chciał choć trochę pomóc wujowi oczyścić jego splamione imię, chociaż sam został osierocony jako pięciolatek i nie miał żadnych wartych wzmianki dóbr materialnych czy dziedzictwa.

Ali nigdy nie brał odwetu na swoich dręczycielach. Jak przypuszczam, po części dlatego, że powłócząc krzywą nogą, nigdy by ich nie dogonił. Zasadniczym powodem było jednak to, że uodpornił się na obelgi napastników; znalazł radość, będącą antidotum na te ataki, z chwilą gdy Sanaubar urodziła Hasana. Wszystko odbyło się zwyczajnie. Bez położnych, anestezjologów i wymyślnych urządzeń kontrolnych. Sanaubar po prostu leżała na gołym, poplamionym materacu, mając do pomocy Alego i akuszerkę. Nawet aż tak ich nie potrzebowała, bo Hasan już w chwili narodzin ujawnił swoją naturę: był niezdolny do tego, by kogokolwiek skrzywdzić. Wystarczyło kilka sapnieć, że dwa parcia i przyszedł na świat. Z uśmiechem na ustach.

Gadatliwa akuszerka wyjawiała potem służącej sąsiadów – a z kolei ta powtórzyła wszystkim, którzy chcieli nadstawić uszu – że Sanaubar obrzuciła wzrokiem noworodka na rękach Alego, dostrzegła zajęczą wargę i zaśmiała się z goryczą. „No proszę – powiedziała – teraz masz własnego półgłówka, który będzie się za ciebie uśmiechał!”. Nie chciała nawet potrzymać dziecka, a zaledwie pięć dni później już jej nie było.

Baba najął dla Hasana tę samą mamkę, która karmiła mnie. Ali powiedział nam, że ta kobieta była niebieskooką Hazarką z Bamijanu, miasta z ogromnymi posągami Buddy.

„Tak słodko śpiewała” – często powtarzał. „A co śpiewała?” – niezmiennie dopytywaliśmy się z Hasanem, choć znaliśmy odpowiedź, bo mówił to setki razy. Po prostu chcieliśmy posłuchać jego śpiewu.

Ali odchrząkiwał i zaczynał:

*Stałam na wysokiej górze
i wzywałam imię Alego, Lwa Bogów.
O Ali, Lwie Bogów, Królu Ludzi,
wlej radość w nasze smutne serca.*

Potem przypominał nam, że ludzie wykarmieni tą samą piersią są sobie braćmi, łączą ich więzy pokrewieństwa, których nawet czas nie rozerwie.

Hasan i ja ssaliśmy tę samą pierś. Stawialiśmy pierwsze kroki na tym samym trawniku w tym samym ogrodzie. I pod tym samym dachem wypowiedzieliśmy nasze pierwsze słowa.

Moje pierwsze słowo: *baba*.

Jego: Amir. Moje imię.

Patrząc dzisiaj wstecz, sądzę, że podstawą tego, co wydarzyło się zimą 1975 roku – i wszystkiego, co działo się potem – były właśnie te pierwsze słowa.

3

Wieść niesie, że mój ojciec gołymi rękami powalił kiedyś czarnego niedźwiedzia w Beludżystanie. Gdyby ta opowieść dotyczyła kogoś innego, uznano by to za *laf*, przykład właściwej Afgańczykom skłonności do przesady – co jest, niestety, niemal ogólnonarodową przypadłością; gdy ktoś chwali się, że ma syna lekarza, można przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że kiedyś udało się chłopakowi zaliczyć sprawdzian z biologii w szkole średniej. Natomiast nikt nigdy nie wątpił w prawdziwość którejkolwiek historii o moim ojcu. A gdyby ktoś dał wyraz swojemu niedowierzaniu... no cóż, *baba* miał przecież te trzy poszarpane blizny biegnące równolegle na plecach. Ileż to razy wyobrażałem sobie owe zapasy, nawet mi się śniły. W snach nigdy nie potrafiłem odróżnić taty od niedźwiedzia.

To Rahim Chan pierwszy powiedział o nim *Tufan agha*, czyli pan Huragan, co z czasem przyjęło się i stało słynnym przezwiskiem mojego taty. Pasowało do niego. Ojciec miał siłę naturalnego żywiołu; był okazem Pasztuna, wyrośnięty, z gęstą brodą i kędzierzawymi brązowymi włosami, krótko ostrzyżonymi i równie nieposkromionymi jak on sam; jego ręce wyglądały tak, jakby mogły wyrwać z korzeniami

wierzbę, a piorunujące spojrzenie czarnych oczu „zmusiłoby diabła do błagania na kolanach o litość”, jak mówił Rahim Chan. Na przyjęciach, gdy rozlegało się dudnienie jego kroków i niemal dwumetrowa postać wpadała do pokoju, wszystkie głowy obracały się w jego stronę jak słoneczniki ku słońcu.

Ojca nie dało się ignorować, nawet gdy spał. Wkładałem kłębki waty do uszu, naciągałem koc na głowę, ale jego chrapanie – przypominające warkot ciężarówki – i tak przenikało przez ściany. Choć moja sypialnia znajdowała się po drugiej stronie korytarza. Pozostaje dla mnie zagadką, jak mama mogła spać z nim w jednym pokoju. Jest to jedno z długiej listy pytań, jakie zadałbym swojej matce, gdybym ją znał.

Pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy miałem pięć, a może sześć lat, *baba* postanowił zbudować sierociniec. Rahim Chan opowiedział mi, jak to było. *Baba* osobiście narysował plany, choć nie miał żadnego doświadczenia w projektowaniu domów. Sceptycy mówili, żeby się nie wygłupiał i zatrudnił architekta. Nie zgodził się, to oczywiste, i wszyscy kręcili głowami skonsternowani jego uporem. Gdy dopiął swego, wszyscy kręcili głowami zaskiwieni jego sukcesem. *Baba* pokrył z własnej kieszeni koszty budowy piętrowego sierocińca tuż opodal głównego odcinka Dżade Majwand na południe od rzeki Kabul. Rahim Chan powiedział mi, że *baba* sam sfinansował całe przedsięwzięcie, zapłacił inżynierom, elektrykom, hydraulikom i robotnikom, nie mówiąc już o wyższych urzędnikach miejskich, którym trzeba było „posmarować wąsy”.

Budowa trwała trzy lata. Miałem już osiem lat i pamiętam, jak w przeddzień otwarcia sierocińca *baba* zawiózł mnie nad jezioro Ghargha, kilka kilometrów na

północ od Kabulu. Kazał mi zabrać również Hasana, ale skłamałem, mówiąc, że dostał rozwolnienia. Chciałem mieć ojca tylko dla siebie. Poza tym któregoś dnia razem z Hasanem puszczailiśmy tam kaczkę i rzucony przez niego kamień odbił się osiem razy. Mnie udało się puścić co najwyżej pięć. *Baba* był wtedy z nami, przyglądał się, a potem klepnął Hasana po plecach. Nawet objął go ramieniem.

Siedzieliśmy przy stole piknikowym nad brzegiem jeziora, tylko *baba* i ja, jedliśmy jajka na twardo i *kofta* – klopsiki – z piklami, w chlebie *nan*. Woda była ciemnoniebieska, słońce migotało na powierzchni czystej jak zwierciadło. W piątki nad jeziorem roiło się od ludzi, którzy przychodzili całymi rodzinami, żeby spędzić dzień na słońcu. Ale my przyszliśmy w środku tygodnia i byliśmy sami, *baba* i ja, no i jeszcze paru długowłosych, brodatych turystów, których nazywano hipisami. Siedzieli na pomoście, machając nogami nad wodą, z wędkami w rękach. Spytałem tatę, dlaczego noszą długie włosy, ale on mruknął coś i nie odpowiedział. Przygotowywał przemówienie, które miał wygłosić następnego dnia, przerzucał nieuporządkowany plik zapisanych ręcznie kartek, tu i ówdzie robił ołówkiem jakieś notatki. Odgryzłem kęs jajka i spytałem, czy to prawda – jak powiedział mi kolega ze szkoły – że gdy człowiek zje kawałek skorupki jajka, będzie musiał ją wysuszać. Tato znowu mruknął coś pod nosem.

Ugryzłem klopsika. Jeden z jasnowłosych turystów roześmiał się i klepnął drugiego w plecy. W oddali, po przeciwnej stronie jeziora, ciężarówka skręcała na drodze wijącej się po zboczu wzgórza. Słońce odbijało się w bocznym lusterku.

– Chyba mam *saratan* – powiedziałem. To znaczy raka.

Baba uniósł głowę znad podrywanych wiatrem kartek. Powiedział, żebym sam przyniósł sobie wodę sodową, wystarczy zajrzeć do bagażnika samochodu.

Następnego dnia przed sierocińcem zabrakło krzeseł. Dużo ludzi musiało na stojąco oglądać ceremonię otwarcia. Wiał wiatr. Siedziałem za ojcem na niewielkim podium tuż przed głównym wejściem do nowego budynku. Tato miał na sobie zielony garnitur i karakułową czapkę. W połowie przemówienia wiatr zerwał mu ją z głowy i rozległ się śmiech. Gdy tato dał mi znak, żebym potrzymał mu czapkę, byłem bardzo zadowolony, bo wtedy wszyscy zobaczyli, że to mój ojciec, mój *baba*. Odwrócił się do mikrofonu i powiedział, że spodziewa się, iż ten budynek będzie trzymał się lepiej niż jego czapka, i znów rozległ się śmiech. Po przemówieniu ludzie wstali i zaczęli wiwatować. Długo bili brawo. Potem ściskali mu rękę. Niektórzy mierzwili mi włosy i również mnie ściskali rękę. Byłem taki dumny z ojca, z nas obu.

Choć *baba* odnosił sukcesy, ludzie w niego nie wierzyli. Mówili, że prowadzenie interesów nie leży w jego naturze i powinien studiować prawo jak jego ojciec. Więc *baba* udowodnił wszystkim, że się mylą – nie tylko prowadził własny interes, ale też stał się jednym z najbogatszych kupców w Kabulu. Razem z Rahimem Chanem założył szalenie dochodową firmę eksportującą dywany, a także dwie apteki i restaurację.

Gdy ludzie sztydziłi z niego, że nigdy się dobrze nie ożeni – przecież w jego żyłach nie płynie królewska krew – poślubił moją matkę, Sofię Akrami, kobietę bardzo wykształconą, powszechnie zaliczaną do najszacowniejszych, najpiękniejszych i najcnotliwszych dam w Kabulu. Nie tylko uczyła klasycznej literatury perskiej na uniwersytecie, ale również była potomkinią

królewskiego rodu, co mój ojciec żartobliwie podkreślał w obecności ludzi nastawionych do niego sceptycznie, mówiąc o niej „moja księżniczka”.

Baba potrafił ukształtować otaczający go świat wedle własnego upodobania – jedynie ja byłem rażącym wyjątkiem. Kłopot oczywiście tkwił w tym, że *baba* widział świat czarno-biały. I na dodatek sam chciał decydować, co jest czarne, a co białe. Człowieka, który żyje w ten sposób, nie można kochać i zarazem się go nie bać. Może nawet odrobinę się go nienawidzi.

Gdy byłem w piątej klasie, religii uczył nas mułła Fatiullah Chan. Był przysadzisty, miał na twarzy blizny po trądziku i mówił szorstkim głosem. Robił nam wykłady o zaletach *zaka*, corocznego przeznaczania pewnej sumy pieniędzy na cele dobroczynne, i obowiązku odbycia *hadż*, pielgrzymki do Mekki; wyjaśniał zawiłości odprawiania pięć razy dziennie *namaz* i kazał uczyć się na pamięć wersetów z Koranu – choć nigdy nie tłumaczył ich na dari, wymagał, czasem używając wierzbowej witki obdartej z kory, żebyśmy poprawnie wymawiali arabskie słowa, bo wtedy Bóg będzie nas lepiej słyszał. Któregoś dnia powiedział nam, że islam uznaje picie alkoholu za straszny grzech i ci, co piją, odpowiedzą za ten grzech w dzień *Ghijamat*, Sądu Ostatecznego. W tamtych czasach picie alkoholu było dość powszechne w Kabulu. Nikomu nie groziła kara publicznej chłosty, ale Afgańczycy, jeśli spożywali alkohol, to prywatnie, na znak szacunku. Ludzie kupowali szkocką „do celów leczniczych” w wybranych „aptekach”, zapakowaną w brązową papierową torbę. Wychodzili ze sklepu, upchnąwszy gdzieś pakunek, by nie było go widać, ale mimo to przyciągali ukradkowe, pełne dezaprobaty spojrzenia tych, którzy wiedzieli, jakich transakcji tam się dokonuje.